

---

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI



C z y t e l n i k



---

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

---

# HEBAN

---

Czytelnik · Warszawa  
2012

Opracowanie graficzne  
Andrzej Heidrich

© Copyright by the Estate of Ryszard Kapuściński, 2007

ISBN 978-83-07-03284-9

*W Afryce mieszkałem kilka lat. Pierwszy raz pojechałem tam w 1957 roku. Potem, przez następnych czterdzieści lat, ilekroć nadarzyła się okazja – wracałem. Dużo podróżowałem. Unikałem oficjalnych szlaków, pałaców, ważnych figur i wielkiej polityki. Natomiast lubiłem jeździć przygodnymi ciężarówkami, wędrować z koczownikami po pustyni, być gościem chłopów z tropikalnej sawanny. Ich życie jest mżołem, jest udreką, którą znoszą jednak ze zdumiewającą wytrwałością i pogodą.*

*Nie jest to więc książka o Afryce, lecz o kilku ludziach stamtąd, o spotkaniach z nimi, czasie wspólnie spędzonym. Ten kontynent jest zbyt duży, aby go opisać. To istny ocean, osobna planeta, różnorodny, przebogaty kosmos. Tylko w wielkim uproszczeniu, dla wygody, mówimy – Afryka. W rzeczywistości, poza nazwą geograficzną, Afryka nie istnieje.*

R. K.



## Początek, zderzenie, Ghana '58

Przede wszystkim rzuca się w oczy światło. Wszędzie – światło. Wszędzie – jasno. Wszędzie – słońce. Jeszcze wczoraj, ociekający deszczem, jesienny Londyn. Ociekający deszczem samolot. Zimny wiatr i ciemność. A tu, od rana całe lotnisko w słońcu, my wszyscy – w słońcu.

Dawniej, kiedy ludzie wędrowali przez świat pieszo, jechali na wierzchowcach albo płynęli statkami, podróż przyzwyczajała ich do zmiany. Obrazy ziemi przesuwały się przed ich oczami wolno, scena świata obracała się ledwie-ledwie. Podróż trwała tygodniami, miesiącami. Człowiek miał czas, żeby żyć się z innym otoczeniem, z nowym krajobrazem. Klimat też zmieniał się etapami, stopniowo. Nim podróżnik dotarł z chłodnej Europy do rozpalonego równika, miał już za sobą przyjemne ciepło Las Palmas, upały El-Mahary i piekło Zielonego Przylądka.

Dzisiaj nic nie zostało z tych gradacji! Samolot gwałtownie wrywa nas ze śniegu i mrozu i jeszcze tego samego dnia rzuca w rozpaloną otchłań tropiku. Nagle, ledwie przetarliśmy oczy, jesteśmy wewnątrz wilgotnego piekła. Od razu zaczynamy się pocić. Jeżeli przylecieliśmy z Europy zimą – zrzucaamy palta, zdejmujemy swetry. To pierwszy gest inicjacji nas, ludzi Północy, po przybyciu do Afryki.

Ludzie Północy. Czy pomyśleliśmy, że ludzie Północy stanowią na naszej planecie wyraźną mniejszość? Kanadyjczycy i Polacy, Litwini i Skandynawowie, część Amerykanów i Niemców, Rosjanie i Szkoci, Lapończycy i Eskimosi, Ewenkowie i Jakuci – lista nie jest tak bardzo długa. Nie

wiem, czy obejmuje ona w sumie więcej niż pięćset milionów ludzi: mniej niż dziesięć procent mieszkańców globu. Natomiast ogromna większość żyje w ciepłe, całe życie grzeje się w słońcu. Zresztą człowiek narodził się w słońcu, jego najstarsze ślady znaleziono w ciepłych krajach. Jaki klimat panował w biblijnym raju? Panowało wieczne ciepło, wręcz upał, tak że Ewa i Adam mogli chodzić nago i nawet w cieniu drzewa nie czuli, żeby było im chłodno.

Już na schodkach samolotu spotyka nas inna nowość: zapach tropiku. Nowość? Ależ to przecież woń, która wypełniała sklepik pana Kanzmana „Towary kolonialne i inne” przy ulicy Pereca w Pińsku. Migdały, goździki, daktyle, kakao. Wanilia, liście laurowe; pomarańcze i banany na sztuki, kardamon i szafran na wagę. A Drohobycz? Wnętrza sklepów cynamonowych Schulza? Przecież ich „słabo oświetlone, ciemne i uroczyście wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów”! Jednak zapach tropiku jest trochę inny. Szybko odczujemy jego ciężar, jego lepłą materialność. Ten zapach zaraz uświadomi nam, że jesteśmy w tym punkcie ziemi, w którym wybijała i niestrudzona biologia nieustannie pracuje, rodzi, krzewi się i kwitnie, a jednocześnie choruje, rozkłada się, próchnieje i gnije.

Jest to zapach rozgrzanego ciała i suszących się ryb, psującego się mięsa i pieczonej kassawy, świeżych kwiatów i kiszących wodorostów, słowem wszystkiego, co jednocześnie przyjemne i drażniące, co przyciąga i odpycha, wabi lub budzi odrazę. Zapach ten będzie dobiegał do nas z pobliskich gajów palmowych, wydobywał się z rozpalonej ziemi, unosił nad stęchłymi rynsztokami miasta. Nie opuści nas, jest częścią tropiku.



I wreszcie odkrycie najważniejsze – ludzie. Tutejsi, miejscowi. Jakże pasują do tego krajobrazu, światła, zapachu. Jak tworzą jedność. Jak człowiek i krajobraz są nierozdzielalną, uzupełniającą się, harmonijną wspólnotą, tożsamością. Jak każda rasa jest osadzona w swoim pejzażu, w swoim klimacie! My kształtujemy nasz krajobraz, a on formuje rysy naszych twarzy. Biały człowiek jest wśród tych palm, lian, w tym buszu i dżungli jakimś dziwnym i nieprzyzwoitym wtrętem. Blady, słaby, spocona koszula, sklejone włosy, ciągle męczy go pragnienie, uczucie bezsiły, chandra. Ciągle boi się, boi się moskitów, ameby, skorpionów, węży – wszystko, co się porusza, napęnia go lękiem, przerażeniem, paniką.

Miejscowi – przeciwnie: ze swoją siłą, wdziękiem i wytrzymałością poruszają się naturalnie, swobodnie, w tempie ustalonym przez klimat i tradycję, w tempie nieco spowolnionym, niespiesznym, bo przecież w życiu i tak nie da się wszystkiego osiągnąć, bo cóż by pozostało dla innych?

Jestem tu od tygodnia. Próbuję poznać Akrę. To jakby rozmnożone, powielone miasteczko, które wypełzło z buszu, z dżungli i zatrzymało się nad brzegiem Zatoki Gwinejskiej. Akra jest płaska, parterowa, licha, ale są też domy, które mają jedno i więcej pięter. Żadnej wymyślnej architektury, żadnego zbytku ni pompy. Tynki zwyczajne, ściany w kolorach pastelowych, jasnożółtych, jasnozielonych. Na tych ścianach pełno zacieków. Świeże, po porze deszczowej tworzą nieskończone konstelacje i kolaże plam, mozaik, fantastycznych map, esów-floresów. Ciasno zabudowane śródmieście. Ruch, tłoczno, gwarno, życie toczy się na ulicy. Ulica to jezdnia oddzielona od pobocza otwartym ściekiem-rynsztokiem. Nie ma chodników. Na jezdni samochody wmieszane w tłum ludzi. Wszystko to posuwa się razem – przechodnie, auta, rowery, wózki tragarzy, jakieś

krowy i kozy. Na poboczu, za ściekiem, wzdłuż całej ulicy – życie domowe i gospodarcze. Kobiety ubijają maniok, pieką na węglach bulwy taro, gotują jakieś potrawy, handlują gumą do żucia, herbatnikami i aspiryną, piorą i suszą bieliznę. Na widoku, jakby obowiązywał nakaz, żeby o ósmej rano wszyscy opuszczali domy i przebywali na ulicy. W rzeczywistości przyczyna jest inna: mieszkania są małe, ciasne, ubogie. Duszno, nie ma wentylacji, powietrze jest ciężkie, zapachy mdłe, nie ma czym oddychać. Poza tym, spędzając dzień na ulicy, można brać udział w życiu towarzyskim. Kobiety cały czas rozmawiają ze sobą, krzyczą, gestykulują, a potem śmieją się. Stojąc tak nad garnczkiem czy miednicą mają świetny punkt obserwacyjny. Mogą widzieć sąsiadów, przechodniów, ulicę, przysłuchiwać się kłótniom i plotkom, śledzić wypadki. Cały dzień człowiek jest wśród ludzi, jest w ruchu i na świeżym powietrzu.

Po tych ulicach jeździ czerwony ford z głośnikiem na dachu. Ochrypli, donośny głos zachęca do przyścia na wiec. Atrakcją wiecu będzie Kwame Nkrumah – Osagyefo, premier, przywódca Ghany, przywódca Afryki, wszystkich uciskanych ludów. Fotografie Nkrumaha są wszędzie – w gazetach (codziennie), na plakatach, na chorągiewkach, na perkalowych, do kostek sięgających spódnicach. Energiczna twarz mężczyzny w średnim wieku, uśmiechnięta albo poważna, w takim ujęciu, które powinno sugerować, że przywódca patrzy w przeszłość.

– Nkrumah to zbawiciel! – mówi mi z zachwytem w głosie młody nauczyciel Joe Yambo. – Słyszałeś, jak przemawia? Jak prorok!

Otóż tak, słyszałem. Przyjechał na wiec, który odbywał się na tutejszym stadionie. Z nim ministrowie – młodzi, ruchliwi, sprawiali wrażenie ludzi rozbawionych, takich, którzy się cieszą. Impreza zaczęła się od tego, że kapłani z bu-

telkami dzinu w ręce polewali tym alkoholem podium – to była ofiara dla duchów, nawiązanie z nimi kontaktu, prośba o ich życzliwość, ich dobroć. Na takim wiecu są, oczywiście, dorośli, ale jest także mnóstwo dzieci – od niemowląt noszonych przez matki na plecach, poprzez takie co ledwie raczkują, aż po maluchy i szkolną dzieciarnię. Młodszy opiekują się starsze, tymi starszymi – jeszcze starsze. Ta hierarchia wieku jest bardzo przestrzegana, a posłuszeństwo – absolutne. Czterolatek ma pełną władzę nad dwulatkiem, sześciolatek nad czterolatkiem. Przy czym dzieci zajmują się dziećmi, starsze są odpowiedzialne za młodsze, tak że dorośli mogą poświęcić się swoim sprawom, na przykład słuchać uważnie Nkrumaha.

Osagyefo przemawiał krótko. Powiedział, że najważniejsze to zdobyć niepodległość – reszta przyjdzie niejako sama, wszelkie dobro wyniknie właśnie z tej niepodległości.

Postawny, o zdecydowanych ruchach, miał kształtne, wyraziste rysy twarzy i duże, żywe oczy, które przesuwają się po morzu czarnych głów z taką skupioną uwagą, jakby chciał je wszystkie dokładnie policzyć.

Po wiecu, ci z podium zmieszali się z tłumem, zrobił się ruch, tłoczno, nie było właściwie widać żadnej ochrony, obstawy, policji. Joe dopchał się do młodego człowieka (mówiąc mi po drodze, że to minister) i spytał go, czy mógłbym przyjść do niego jutro. Tamten, w ogólnie panującym gwarze nie bardzo słysząc o co dokładnie chodzi, powiedział, trochę na odczepnego – dobrze! dobrze!

Nazajutrz odnalazłem stojący wśród królewskich palm nowy budynek Ministerstwa Oświaty i Informacji. Był to piątek. W sobotę, w swoim hoteliku, opisałem ów dzień poprzedni:

Droga wolna, ani policjanta, ani sekretarki, ani drzwi.

Odchyłam wzorzystą zasłonkę i wchodzę. Gabinet ministra w ciepłym półmroku. On sam stoi przy biurku i porządkuje papiery. Te zmiąć i do kosza. Te wygładzić i do teczki. Szczupła, drobna postać, koszulka gimnastyczna, krótkie spodenki, sandały, kwiecista kente przez lewe ramię, nerwowe ruchy.

To Kofi Baako, minister oświaty i informacji.

Jest najmłodszym ministrem w Ghanie i w całej Wspólnocie Brytyjskiej. Ma trzydzieści dwa lata i swoją tekę piastuje od trzech lat. Jego gabinet znajduje się na drugim piętrze gmachu ministerstwa. Tu hierarchii stanowisk odpowiada drabina pięter. Im wyższa osobistość, tym wyższe piętro. Bo na górze jest przewiew, a w dole powietrze kamienne, nieruchome. Więc na parterze duszą się drobni urzędnicy, nad nimi dyrektorzy departamentów mają już leciutki cug, a u samej góry chłodzi ministrów właśnie ten wymarzony powiew.

Do ministra może przyjść kto chce. I kiedy chce. Jeśli kto ma sprawę, przyjeżdża do Akry, dopyta się, gdzie tu minister np. od rolnictwa, idzie, odchyła zasłonkę, siada przed urzędową osobą i wyluszcza, co go trapi. Nie zostanie osoby w urzędzie, to znajdzie ją w domu. Nawet i lepiej, bo tam dostanie obiad i coś do napicia. Ludzie czuli dystans wobec białej administracji. Ale teraz są swoi, można się nie kłepować. Mój rząd, to musi mi pomóc. Żeby mógł, musi wiedzieć w czym. Żeby wiedział, muszę przyjść i wyjaśnić. Najlepiej samemu, osobiście i wprost. Nie ma końca tym interesantom.

– Dzień dobry! – powiedział Kofi Baako. – Skąd to?

– A z Warszawy.

– Wiesz, mało brakowało, żebym tam był. Bo ja zjeździłem całą Europę: Francję, Belgię, Anglię, Jugosławię. W Czechosłowacji czekałem na wyjazd do Polski, ale Kwame przysłał telegram, że mam wrócić na zjazd partii, naszej rządzącej Convention People's Party.

Siedzieliśmy przy stole, w jego gabinecie bez drzwi i okien. Zamiast tego były okiennice z rozsuniętymi szparami, przez które ciągnął słaby powiew. Niewielki pokój zawalały papiery, akta, broszury. W kącie stała szafa pancerna, na ścianach wisiało parę portretów Nkrumaha, na półce stał głośnik u nas zwany kołchoźnikiem. Przez ten głośnik łomotały tam-tamy, aż w końcu Baako go wyłączył.

Chciałem, żeby mi opowiedział o sobie, o swoim życiu. Baako ma ogromny mir wśród młodych. Lubią go za to, że jest dobrym sportowcem. Gra w nożną, w krykieta, jest mistrzem Ghany w ping-pongu.

– Zaraz – przerwał – tylko zamówię Kumasi, bo jadę tam jutro na mecz.

Zadzwonił na pocztę, żeby mu dali połączenie. Nie dali, kazali czekać.

– Wczoraj byłem na dwóch filmach – mówi do mnie ze słuchawką przy uchu – chciałem zobaczyć, co grają. Puszczają takie filmy, na które szkolniacy nie powinni chodzić. Muszę wydać zarządzenie, aby młodzieży zabronić oglądania takich rzeczy. A dzisiaj od rana wizytowałem w mieście stoiska z książkami. Rząd ustala niskie ceny na szkolne podręczniki. A mówią, że sprzedawcy te ceny podnoszą. Poszedłem sprawdzić. Tak, sprzedają drożej niż powinni.

Znowu zadzwonił na pocztę.

– Słuchajcie, czym wy się tam zajmujecie? Ile mam czekać? Może nie wiecie, kto dzwoni?

Kobiecy głos w słuchawce odpowiedział: – Nie.

– A ty kto jesteś? – zapytał Baako.

– Dyżurna telefonistka.

– No to ja jestem ministrem oświaty i informacji, Kofi Baako.

– Dzień dobry, Kofi! Zaraz dostaniesz połączenie.

Już rozmawiał z Kumasi.

Patrzyłem na jego książki leżące w małej szafce: Hemingway, Lincoln, Koestler, Orwell. *Popularna historia muzyki, Słownik amerykański* – wydanie kieszonkowe, kryminały.

– Czytanie to moja pasja. W Anglii kupiłem sobie *Encyclopaedia Britannica* i teraz czytam po kawałku. Nie mogę jeść nie czytając, książka musi leżeć przede mną otwarta.

Po chwili:

– Jeszcze większe hobby to fotografia. Zdjęcia robię zawsze i wszędzie. Mam ponad dziesięć aparatów fotograficznych. Kiedy idę do sklepu i widzę nowy aparat, zaraz muszę kupić. Dzieciom sprawiłem projektor i wieczorem wyświetlam im filmy.

Ma czworo dzieci, od dziewięciu do trzech lat. Wszystkie chodzą do szkoły, to najmłodsze też. Nie jest to nic osobliwego, jeżeli trzyletni berbecz zostaje uczniakiem. Zwłaszcza kiedy łobuzuje, matka oddaje go do szkoły, żeby mieć spokój.

Sam Kofi Baako poszedł do szkoły mając trzy lata. Ojciec jego był nauczycielem i wolał mieć chłopca na oku. Kiedy skończył szkołę, wysłano go do gimnazjum w Cape Coast. Został nauczycielem, potem urzędnikiem. W końcu 1947 roku Nkrumah wraca po studiach w Ameryce i w Anglii do Ghany. Baako słucha, o czym mówi ten człowiek. Mówi o niepodległości. Wtedy Baako pisze artykuł „Moja nienawiść do imperializmu”. Zostaje wyrzucony z pracy. Ma wilczy bilet, nigdzie go nie chcą zatrudnić, obją się po mieście. Następuje spotkanie z Nkrumahem. Kwame powierza mu stanowisko naczelnego „Cape Coast Daily Mail”.

Kofi ma dwadzieścia lat. Pisze artykuł „Wołamy o wolność” i idzie do więzienia. Poza nim aresztują Nkrumaha i kilku aktywistów. Siedzą trzynaście miesięcy, w końcu zostają uwolnieni. Dzisiaj grupa ta stanowi rząd Ghany.

Teraz mówi o sprawach ogólnych: – Tylko trzydzieści procent ludzi w Ghanie umie czytać i pisać. Chcemy przez piętnaście lat zlikwidować analfabetyzm. Są trudności: brak nauczycieli, książek, szkół. Szkoły są dwojakiego rodzaju: misyjne i państwowe. Ale wszystkie podlegają rządowi i jest jedna polityka oświatowa. Poza tym: za granicą kształci się pięć tysięcy studentów. Z nimi jest tak, że często wracają i już nie mają z ludem wspólnego języka. Patrz na opozycję. Przywódcy opozycji to wychowankowie Oxfordu i Cambridge.

– Czego chce opozycja?

– A bo ja wiem? Uważamy, że opozycja jest potrzebna. Przywódca opozycji w parlamencie otrzymuje pensję od rządu. Pozwoliliśmy zjednoczyć się tym wszystkim opozycyjnym partyjkom, grupom i grupkom w jedną partię, żeby byli silniejsi. Stoimy na stanowisku, że każdy, kto chce, ma prawo w Ghanie stworzyć partię polityczną, z tym, aby nie opierała się o kryterium rasy, religii, czy plemienia. Każda partia może u nas używać wszystkich środków konstytucyjnych, aby zdobyć władzę polityczną. Ale, rozumiesz, przy tym wszystkim nie wiadomo, czego opozycja chce. Zwołują wiec i krzyczą: my mamy Oxford, a taki Kofi Baako nie skończył nawet gimnazjum. On jest dziś ministrem, a ja niczym. Ale jak zostanę ministrem, to Baako będzie dla mnie za głupi, żebym go zrobił bodaj gońcem. Ludzie tego gadania nie słuchają, bo takich Kofi Baaków jest tutaj więcej niż wszystkich opozycjonistów razem wziętych.

Powiedziałem, że będę się zbierał, bo czas na obiad. Spytał, co robię wieczorem. Miałem jechać do Togo.

– Co tam – machnął ręką – przyjdź na zabawę. Dzisiaj Radio robi zabawę.

Nie miałem zaproszenia. Poszukał kawałka kartki i napisał: „Przyjąć Ryszarda Kapuścińskiego, dziennikarza z Pol-

ski, na Waszą zabawę – Kofi Baako, Minister Oświaty i Informatyki”.

– Masz, ja tam też będę, zrobimy trochę zdjęć.

Warta u bram gmachu Radia oddała mi wieczorem sprężyste honory i zasiadłem przy specjalnym stoliku. Zabawa była w pełnym biegu, kiedy zajechał pod parkiet do tańca (było to w ogrodzie) szary peugeot, z którego wysiadł Kofi Baako. Był ubrany tak samo jak w ministerstwie, tylko pod pachą trzymał czerwony dres, bo tej nocy jechał do Kumasi, mógł zmarznąć. Znali go tu świetnie. Baako jest ministrem szkół, wyższych uczelni, prasy, radia, wydawnictw, muzeów, wszystkiego, co jest nauką, kulturą, sztuką i propagandą w tym kraju.

Rychło znaleźliśmy się w tłumie. Usiadł, żeby wypić coca-colę. Zaraz poderwał się.

– Chodź, pokażę ci moje aparaty.

Otworzył bagażnik samochodu i wyciągnął walizkę. Położył ją na ziemi, uklęknął i otworzył. Zaczęliśmy wyjmować aparaty i rozkładać je na trawie. Było ich piętnaście.

Wtedy podeszło dwóch chłopaków, trochę podpitych.

– Kofi – zaczął jeden z pretensją – kupiliśmy bilet, a tu nie pozwalają nam zostać, bo nie mamy marynarek. To po co sprzedali nam bilet?

Baako wstał, żeby odpowiedzieć.

– Słuchajcie, ja jestem za wielkim człowiekiem do takich spraw. Tu jest mnóstwo małych facetów, niech oni załatwiają te małe sprawy. Ja mam na głowie zagadnienia państwowe.

Ta dwójka odpłynęła chybotliwie, a myśmy poszli robić zdjęcia. Wystarczyło, że pokazał się obwieszony aparatami, już wołano go od stolików prosząc o zdjęcie.

– Kofi, zrób nam.



– Nam!

– I nam też!

Krążył, wybierając miejsca, gdzie były co ładniejsze dziewczęta, ustawiał je, kazał się śmiać i strzelał fleszem. Znał je po imieniu: Abena, Ekwa, Esi. One witały się podając mu rękę, nie wstając, wzruszając ramionami, co jest tu wyrazem zalotnej kokieterii. Baako szedł dalej, zrobiliśmy wtedy dużo zdjęć. Spojrzał na zegarek.

– Muszę jechać.

Chciał zdążyć na mecz.

– Przyjdź jutro, to wywołamy zdjęcia.

Peugeot błysnął światłami i zniknął w mroku, a zabawa wirowała czy raczej – kołysała i kłębiła się do świtu.

## Droga do Kumasi

Co przypomina dworzec autobusowy w Akrze? Najbardziej przypomina tabor wielkiego cyrku, który zatrzymał się na krótki postój. Jest kolorowo i rozbrzmiewa muzyka. Autobusy są podobne raczej do wozów cyrkowych niż do luksusowych chaussonów, które suną po autostradach Europy i Ameryki.

Te w Akrze to jakby ciężarówki o drewnianych nadwoziach, które mają dach oparty na słupkach. Dzięki temu, że nie ma ścian, w czasie jazdy chłodzi nas zbawienny przewiew. Przewiew jest w tym klimacie wartością wielce poszukiwaną. Jeżeli chcemy wynająć mieszkanie, pierwsze pytanie do właściciela będzie: „Ale czy jest tu przewiew?”. Na to otworzy on szeroko okna i zaraz obejmuje nas życzliwie prąd ruchomego powietrza: oddychamy głębiej, czujemy ulgę – zaczynamy znów żyć.

Na Saharze pałace władców mają najbardziej wymyślne konstrukcje – pełne otworów, szczelin, zakosów i korytarzy, tak pomyślanych, ustawionych i zbudowanych, żeby dawały możliwie najlepszy przewiew. W południowy upał u wylotu takiego orzeźwiającego ciągu leży na macie władca i z rozkoszą oddycha nieco chłodniejszym w tym miejscu powietrzem. Przewiew jest rzeczą wymierną finansowo: najdroższe domy budowane są tam, gdzie jest najlepszy przewiew. Powietrze, kiedy stoi nieruchomo, nie ma wartości, ale wystarczy, że się ruszy – od razu nabiera ceny.

Autobusy są jaskrawo, wzorzyście, różnobarwnie poma-

lowane. Na szoferkach i burtach krokodyle szczerzą ostre zęby, prężą się węże gotowe do ataku, na drzewach hasają stada pawianów, sawanną pędzą ścigane przez lwa antylopy. Wszędzie zatrząsienie ptaków... a także łańcuchy, bukiety kwiatów. Kicz, ale jakże pełen fantazji i życia.

Najważniejsze są jednak napisy. Biegną ozdobione girlandami kwiatów, duże, z daleka widoczne, ponieważ mają być zachętą albo przestrożą. Dotyczą Boga, ludzi, powinności i zakazów.

Duchowy świat Afrykanina (świadomy jestem, że używając tego określenia, bardzo upraszczam) jest bogaty i złożony, a jego życie wewnętrzne przenika głęboka religijność. Wierzy on, że istnieją jednocześnie trzy różne, choć powiązane ze sobą światy.

Pierwszy to ten, który go otacza, a więc namacalna i widoczna rzeczywistość, na którą składają się żywi ludzie, zwierzęta i rośliny, a także przedmioty martwe – kamienie, woda, powietrze. Drugi – świat przodków – tych, którzy zmarli przed nami, ale zmarli jak gdyby nie całkowicie, nie do końca, nie ostatecznie. Owszem, w sensie metafizycznym istnieją nadal, a nawet potrafią brać udział w naszym życiu realnym, wpływać na nie, kształtować je. Dlatego utrzymanie dobrych stosunków z przodkami jest warunkiem pomyślnego życia, a czasem nawet życia w ogóle. Wreszcie, świat trzeci to przebogie królestwo duchów; duchów, które istnieją niezależnie, ale zarazem żyją w każdym bycie, w każdej istności, w każdej rzeczy, we wszystkim i wszędzie.

Na czele tych trzech światów stoi Istota Najwyższa, Byt Najwyższy, Bóg. Dlatego wiele napisów na autobusach przenika pryncypialna transcendencja: „Bóg jest wszędzie”, „Bóg wie, co robi”, „Bóg jest tajemnicą”. Są też napisy bar-

dziej przyziemne, ludzkie: „Uśmiechaj się”, „Powiedz mi, że jestem piękna”, „Kto się czubi, ten się lubi” itd.

Wystarczy pojawić się na placu, na którym tłoczą się dziesiątki autobusów, a już otoczy nas gromada przekrzykujących się dzieci z pytaniem – dokąd chcemy jechać: do Kumasi, do Takoradi czy do Tamale?

– Do Kumasi.

Te, które łowią pasażerów jadących do Kumasi, podają nam rękę i podskakując z radości, prowadzą do odpowiedniego autobusu. Cieszą się, ponieważ za to, że znalazły pasażera, dostaną od kierowcy banana albo pomarańczę.

Wchodzimy do autobusu i zajmujemy miejsce. W tym momencie może dojść do starcia dwóch kultur, do zderzenia i konfliktu. Stanie się tak wówczas, jeżeli pasażer to przybysz, który nie zna Afryki. Człowiek taki zacznie rozglądać się, wiercić i pytać „Kiedy odjedzie autobus?”. „Jak to – kiedy? – odpowie zdumiony kierowca. – Kiedy zbierze się tyle ludzi, aby cały zapelnili”.

Europejczyk i Afrykanin mają zupełnie różne pojęcia czasu, inaczej go postrzegają, inaczej się do niego odnoszą. W przekonaniu europejskim czas istnieje poza człowiekiem, istnieje obiektywnie, niejako na zewnątrz nas, i ma właściwości mierzalne i linearne. Według Newtona czas jest absolutny: „Absolutny, prawdziwy, matematyczny czas płynie sam przez się i dzięki swej naturze, jednostajnie, a nie zależnie od jakiegokolwiek przedmiotu zewnętrznego”. Europejczyk czuje się sługą czasu, jest od niego zależny, jest jego poddanym. Żeby istnieć i funkcjonować, musi przestrzegać jego żelaznych, nienaruszalnych praw, jego sztywnych zasad i reguł. Musi przestrzegać terminów, dat, dni i godzin. Porusza się w trybach czasu, nie może poza nimi istnieć. One narzucają mu swoje rygory, wymagania i normy. Między człowiekiem i czasem istnieje nierozstrzygalny

konflikt, który zawsze kończy się klęską człowieka – czas człowieka unicestwia.

Inaczej pojmują czas miejscowi, Afrykańczycy. Dla nich czas jest kategorią dużo bardziej luźną, otwartą, elastyczną, subiektywną. To człowiek ma wpływ na kształtowanie czasu, na jego przebieg i rytm (oczywiście, człowiek działający za zgodą przodków i bogów). Czas jest nawet czymś, co człowiek może tworzyć, bo np. istnienie czasu wyraża się poprzez wydarzenia, a to, czy wydarzenie ma miejsce czy nie, zależy przecież od człowieka. Jeżeli dwie armie nie stoczą bitwy, to bitwa ta nie będzie miała miejsca (tzn. czas nie przejawia swojej obecności, nie zaistnieje).

Czas pojawia się w wyniku naszego działania, a znika, kiedy go zaniechamy albo w ogóle nie podejmiemy. Jest to materia, która pod naszym wpływem może zawsze ożyć, ale popadnie w stan hibernacji i nawet niebytu, jeżeli nie udzielimy jej naszej energii. Czas jest istnością bierną, pasywną i przede wszystkim – zależną od człowieka.

Całkowita odwrotność myślenia europejskiego.

W przełożeniu na sytuacje praktyczne oznacza to, że jeżeli pojedziemy na wieś, gdzie miało po południu odbyć się zebranie, a na miejscu zebrania nie ma nikogo, bezsensowne jest pytanie: „Kiedy będzie zebranie?”. Bo odpowiedź jest z góry wiadoma: „Wtedy, kiedy zbiorą się ludzie”.

Toteż Afrykanin, który wsiada do autobusu, nie pyta, kiedy autobus odjedzie, tylko wchodzi, siada na wolnym miejscu i od razu zapada w stan, w jakim spędza znaczną część swojego życia – w stan martwego wyczekiwania.

– Ci ludzie mają fantastyczną zdolność czekania! – powiedział mi mieszkający tu od lat Anglik. – Zdolność, wytrzymałość, jakiś inny zmysł!

Gdzieś w świecie krąży, płynie tajemnicza energia, która, jeżeli zbliży się i nas wypełni, da nam siłę, aby uruchomić czas – coś zacznie się dziać. Dopóki jednak to nie nastąpi, trzeba czekać – wszelkie inne zachowanie jest złudą i donkiszoterią.

Na czym polega owo martwe czekanie? Ludzie wchodzą w ten stan świadomości tego, co nastąpi: starają się więc umościć najwygodniej, w miejscu możliwie najlepszym. Czasem kładą się, czasem siedzą wprost na ziemi, na kamieniu albo w kucki. Przestają mówić. Gromada martwo czekających jest niema. Nie wydaje głosu, milczy. Następuje rozluźnienie mięśni. Sylwetka wiotczeje, osuwa się, kurczy. Szyja nieruchomieje, głowa nie porusza się. Człowiek nie rozgląda się, niczego nie wypatruje, nie jest ciekaw. Czasem ma przymknięte oczy, ale nie zawsze. Raczej oczy są otwarte, ale wzrok nieobecny, bez iskry życia. Ponieważ godzinami obserwowałem całe tłumy będące w stanie martwego oczekiwania, mogę stwierdzić, że zapadają w jakiś głęboki fizjologiczny sen: nie jedzą, nie piją, nie oddają moczu. Nie reagują na bezlitośnie prażące słońce, na natrętne, żarłoczne muchy obsiadające ich powieki, ich usta.

Co się w tym czasie dzieje w ich głowach?

Nie wiem, nie mam pojęcia. Nie myślą? Śnią? Wspominają? Układają plany? Medytują? Przebywają w zaświatach? Trudno powiedzieć.

Wreszcie, po dwóch godzinach czekania, pełny autobus rusza z dworca. Na wyboistej drodze, potrząsani, pasażerowie budzą się do życia. A to ktoś sięga po biszkopta, a to obiera banana. Ludzie rozglądają się, wycierają spocone twarze, dokładnie składają mokre chustki. Szofer cały czas coś mówi, jedną ręką trzyma kierownicę, drugą gestykuluje. Wszyscy raz po raz zanoszą się śmiechem, on najgłośniejszy, inni ciszej; może tylko z grzeczności, bo tak wypada?

Jedziemy. Ci ze mną w autobusie to dopiero drugie, a często i pierwsze pokolenie szczęśliwców, którzy w Afryce jadą. Przez tysiące i tysiące lat Afryka chodziła pieszo. Ludzie nie znali tu pojęcia koła ani nie umieli go sobie przyswoić. Chodzili, wędrowali, a to, co trzeba było nosić, nosili na plecach, na ramionach, a zwykle – na głowach.

Skąd się wzięły statki na jeziorach w głębi kontynentu? Stąd, że były rozbierane w portach oceanicznych na części, części przenoszono na głowach i składano na brzegach jeziora. W częściach, w głąb Afryki przenoszono miasta, fabryki, urządzenia kopalń, elektrowni, szpitale. Cała cywilizacja techniczna XIX wieku została przeniesiona do wnętrza Afryki na głowach jej mieszkańców.

Mieszkańcy północnej Afryki, czy nawet Sahary, mieli więcej szczęścia: mogli używać zwierzęcia jucznego – wielbłąda. Ale wielbłąd czy koń nie mogły zadomowić się w Afryce na południe od Sahary – ginęły dziesiątkowane przez muchę tse-tse, a także z powodu innych śmiertelnych chorób wilgotnego tropiku.

Problem Afryki to sprzeczność między człowiekiem a środowiskiem, między ogromem przestrzeni afrykańskiej (ponad trzydzieści milionów kilometrów kwadratowych!) a bezbronnym, bosonogim, ubogim człowiekiem – jej mieszkańcem. W którą stronę obrócić się – wszędzie daleko, wszędzie pustkowie, bezludzie, bezkres. Trzeba było iść setki, tysiące kilometrów, żeby spotkać innych ludzi (nie można powiedzieć – innego człowieka, ponieważ pojedynczy człowiek nie mógłby w tamtych warunkach przeżyć). Żadna informacja, wiedza, zdobycze techniki, dobra, towary, doświadczenia innych – nie przenikały, nie znajdowały drogi. Nie istniała wymiana jako forma uczestniczenia w kulturze światowej. Jeżeli pojawiała się, to wyłącznie jako przypadek, wydarzenie, święto. A bez wymiany nie ma postępu.

Najczęściej mało liczebne grupy, klany, ludy żyły w izolacji, zagubione, rozrzucone na bezkresnych, wrogich obszarach, śmiertelnie zagrożone malarią, suszą, upałami, głodem.

Z drugiej strony – bytowanie i poruszanie się w małych grupach pozwalało im uciekać z miejsc zagrożenia, np. z rejonów suszy lub epidemii, i w ten sposób przetrwać. Ludy te stosowały tę samą taktykę, jaką dawniej obierała lekka kawaleria na polach bitewnych. Jej zasady to ruchliwość, unikanie frontальной konfrontacji, omijanie i przechytrzenie zła. To sprawiało, że tradycyjnie Afrykanin był człowiekiem w drodze. Nawet jeżeli wiódł żywot osiadły, mieszkał na wsi – też był w drodze, bo cała wieś, od czasu do czasu, również wędrowała: a to skończyła się woda, a to ziemia przestała rodzić, innym razem – wybuchła epidemia, więc – w drogę, w poszukiwaniu ocalenia, w nadziei na lepsze. Dopiero życie w miastach wniosło w tę egzystencję więcej stabilizacji.

Ludność Afryki to była gigantyczna, splątana, krzyżująca się i pokrywająca cały kontynent sieć w ciągłym ruchu, w nieustannym falowaniu, zbiegająca się w jednym miejscu i rozprzestrzeniająca w innym, bogata tkanina, barwny arras.

Ta przymusowa ruchliwość ludności sprawiła, że w głębi Afryki nie ma starych miast, tak starych, jak bywają w Europie czy na Bliskim Wschodzie, które by istniały do dzisiaj. Podobnie – znowu w przeciwieństwie do Europy i Azji – bardzo dużo społeczności (niektórzy twierdzą, że wszystkie) zajmują dziś tereny, na których kiedyś nie mieszkały.

Wszyscy są przybyszami z innych stron, wszyscy imigrantami. Ich wspólnym światem jest Afryka, ale w jej obrębie wędrowali i przemieszczali się przez wieki (w różnych miejscach kontynentu ten proces trwa do dzisiaj). Stąd uderzająca cecha tej cywilizacji – jej tymczasowość, prowizorka, brak ciągłości materialnej. Chata dopiero wczoraj



sklecona, a dzisiaj już jej nie ma. Pole uprawiane jeszcze trzy miesiące temu – dziś już leży odłogiem.

Ciągłość, która jest tu żywa i spaja poszczególne społeczności – to ciągłość tradycji rodowych i obrządków, głęboki kult przodków. Stąd, bardziej niż wspólnota materialna czy terytorialna, Afrykańczyka łączy z najbliższymi wspólnota duchowa.

Autobus coraz głębiej wjeżdża w gęsty, wysoki las tropikalny. Biologia w strefach umiarkowanych wykazuje dyscyplinę i porządek: tu mamy lasy sosnowy, tam rosną dęby, gdzie indziej – brzozy. Nawet w lasach mieszanych panuje przejrzystość i stateczność. Natomiast w tropiku biologia żyje w stanie szaleństwa, w ekstazie najdzikszego płodzenia i mnożenia. Uderza nas tu buńczuczna i rozpychająca się obfitość, ta nieustająca erupcja bujnej, dyszącej masy zieleni, z której każda cząstka – drzewo, krzew, liana, pnącze – rozrastając się, napierając na siebie, stymulując i podbechtując, tak się już poszczepiała, zawęzliła i zwarła, że tylko ostra stal i to z nakładem pracy katorżniczej, może przecinać w niej przejścia, ścieżki, tunele.

Ponieważ nie było pojazdów kołowych, w przeszłości na tym ogromnym kontynencie nie było również dróg. Kiedy na początku XX wieku sprowadzono pierwsze samochody, nie bardzo miały gdzie jeździć. Szosa bita lub asfaltowa jest w Afryce rzeczą nową, liczy kilkadziesiąt lat. I ciągle na wielu obszarach jest rzadkością. Zamiast dróg jezdnych, były ścieżki. Dla ludzi, dla bydła, zwykle wspólne. Ta ścieżkowa forma komunikacji tłumaczy, dlaczego ludzie mają tu zwyczaj chodzić gęsiego; nawet jeżeli idą dziś szeroką szosą, to też gęsiego. Dlatego idąca gromada milczy – gęsiego trudno prowadzić dyskusję.

Trzeba być wielkim specjalistą od geografii tych ścieżek. Kto jej nie zna – zabłądzi; a jeżeli będzie błędził długo bez wody i jedzenia – zginie. Rzecz w tym, że różne klany, plemiona i wioski mogą mieć swoje krzyżujące się ścieżki i kto o tym nie wie, może chodzić po tych ścieżkach – myśląc, że one go dobrze prowadzą – a one go zaprowadzą na manowce i w śmierć. Najbardziej tajemnicze i niebezpieczne są ścieżki w dżungli. Człowiek ciągle zahacza o jakieś kolce i gałęzie, nim dojdzie do celu, jest cały podrapany i opuchnięty. Warto mieć kij, bo jeżeli na ścieżce będzie leżał wąż (co się zdarza często), trzeba go wypłoszyć, właśnie najlepiej kijem. Innym problemem są talizmany. Ludzie tropikalnego lasu, żyjąc w niedostępnej głuszy, są z natury nieufni i przesadni. Dlatego na ścieżkach rozwieszają przeróżne talizmany, aby płoszyły wszelkie złe duchy. Kiedy natrafi się na wiszącą w poprzek ścieżki skórę jaszczurki, główkę ptaka, pęczek trawy lub ząb krokodyla – nie wiadomo, co robić: ryzykować i iść dalej czy raczej zawrócić, bo za tym znakiem ostrzegawczym może kryć się coś naprawdę złego.

Co jakiś czas nasz autobus zatrzymuje się na poboczu. Bo ktoś chce wysiąść. Jeżeli wysiada młoda kobieta z dzieckiem albo z dwojgiem dzieci (rzadki to widok – młoda kobieta bez dziecka), wówczas scena, którą zobaczymy, będzie pełna zręczności i gracji. Najpierw kobieta perkalową chustą przytroczy sobie dziecko do pleców (ono cały czas śpi, nie reaguje). Następnie kucnie i postawi swoją nieodłączną miskę albo miednicę pełną wszelkiego jedzenia i innych towarów – na głowie. Teraz wyprostuje się i zrobi taki ruch ciałem jak linoskoczek, kiedy stawia pierwszy krok na linie nad przepaścią: balansując, chwytą równowagę. W lewą rękę bierze plecioną matę do spania, a prawą prowadzi za rączkę drugie dziecko. I tak – idąc od razu bardzo równym, jednostajnym krokiem – wchodzi na ścież-

kę leśną wiodącą w świat, którego nie znam i może nigdy nie zrozumiem.

Mój sąsiad w autobusie. Młody człowiek. Buchalter w jakiejś firmie w Kumasi, której nazwy nie dosłyszałem. – Ghana jest niepodległa! – mówi przejęty, zachwycony. – Jutro cała Afryka będzie niepodległa! – zapewnia. – Jesteśmy wolni!

I podaje mi rękę w geście, który ma oznaczać: teraz Czarny może Białemu podać rękę bez żadnych kompleksów. – Widziałeś Nkrumaha? – pyta zaciekawiony. – Tak? To jesteś szczęśliwym człowiekiem! Wiesz, co zrobimy z wrogami Afryki?

Śmieje się ha-ha, ale dokładnie nie mówi, co zrobimy.

– Teraz najważniejsza jest oświata. Oświata, wykształcenie, zdobywanie wiedzy. Tacy jesteśmy nierozwinięci, tacy nierozwinięci! Myślę, że cały świat przyjdzie nam z pomocą. Musimy być z rozwiniętymi krajami równi! Nie tylko wolni – ale i równi! Na razie oddychamy wolnością. I to jest raj. To jest wspaniałe!

Ten jego entuzjazm jest tu powszechny. Entuzjazm i duma, że Ghana stoi na czele ruchu, daje przykład, przewodzi całej Afryce.

Mój drugi sąsiad, siedzący po lewej stronie (autobus ma trzy miejsca w rzędzie), jest inny: zamknięty w sobie, mało mówny, wyłączony. Od razu zwraca uwagę, ponieważ ludzie tutaj są z reguły otwarci, chętni do rozmowy, skorzy do opowiadań i wygłaszania wszelkich opinii. Dotąd powiedział mi tylko tyle, że nie pracuje i że ma z pracą trudności. Jakie – nie mówi.

W końcu jednak – kiedy wielki las kurczy się już i maleje, co oznacza, że powoli dojeżdżamy do Kumasi – decyduje się coś mi wyznać. Otóż – ma kłopoty. Jest chory. Nie jest zawsze, bez przerwy chory, ale czasami, okresami – jest.

Był już u różnych rodzimych specjalistów, ale żaden mu nie pomógł. Sprawa polega na tym, że w głowie, pod czaszką, ma zwierzęta. Nie to, że widzi te zwierzęta, że o nich rozmyśla lub się ich boi – nie. Nic podobnego. Chodzi o to, że te zwierzęta są w jego głowie, one tam żyją, biegają, pasą się, polują albo po prostu śpią. Jeżeli są to zwierzęta łagodne, jak antylopy, zebry czy żyrafy, znosi je dobrze, są nawet przyjemne. Ale czasem przychodzi głodny lew. Jest głodny, jest wściekły – więc ryczy. I wtedy ryk tego lwa rozsadza mu czaszkę.

## Struktura klanu

Do Kumasi przyjechałem bez żadnego celu. Na ogół uważa się, że mieć określony cel to dobra rzecz, bo wtedy człowiek czegoś chce i do czegoś zdąża; z drugiej jednak strony taka sytuacja nakłada na niego końskie okulary: widzi tylko swój cel i nic więcej. Tymczasem to więcej – szerzej – głębiej, może być znacznie ciekawsze i ważniejsze. Przecież wejście w inny świat to wejście w jakąś tajemnicę, a ona może kryć w sobie tyle labiryntów i zakamarków, tyle zagadek i niewiadomych!

Kumasi leży wśród zieleni i kwiatów, na łagodnych wzgórzach. Jest jak wielki ogród botaniczny, w którym pozwolono osiedlić się ludziom. Wszystko wydaje się tu życzliwe człowiekowi – klimat, roślinność, inni ludzie. Poranki są olśniewająco piękne, choć trwają tylko kilka minut. Jest noc i z tej nocy nagle wypływa słońce. Wypływa? Ten czasownik sugeruje przecież pewną powolność, pewien proces. Ono zostaje wyrzucone przez kogoś w górę jak piłka! Od razu widzimy ognistą kulę tak blisko nas, że odczuwa się pewien lęk. W dodatku kula sunie w naszą stronę, coraz bardziej. Zbliża się.

Widok słońca działa jak strzał startera: od razu miasto rusza z miejsca! Jak gdyby przez całą noc wszyscy czaili się w swoich blokach startowych i teraz, na sygnał, na ten słoneczny strzał ruszyli i pognali do przodu. Żadnych stadiów pośrednich, żadnych przygotowań. Od razu ulice pełne ludzi, sklepy otwarte, dymią ogniska i kuchnie.

Kumasi jest jednak ruchliwe w inny sposób niż Akra.

Ruch w Kumasi jest miejscowy, regionalny, jakby zamknięty w sobie. Miasto jest stolicą królestwa Ashanti (stanowiącego część Ghany) i czujnie strzeże swojej inności, swojej barwnej i żywej tradycji. Tu można spotkać przechadzających się ulicą wodzów rodowych albo zobaczyć obrządek wywodzący się z pradawnych czasów. Tu również żyje, wybujały w tej kulturze, świat magii, czarów i zaklęć.

Droga z Akry do Kumasi to nie tylko pięćset kilometrów od wybrzeża Atlantyku w głąb Afryki, to także podróż do tych obszarów kontynentu, na których mniej jest śladów i znamion kolonializmu niż w pasie przybrzeżnym. Albowiem rozległość Afryki, niedostatek spławnych rzek i brak jezdnych dróg, a także ciężki, zabójczy klimat, były co prawda przeszkodą w jej rozwoju, ale zarazem stanowiły naturalną obronę przed inwazją; sprawiły, że koloniści nie mogli przeniknąć zbyt głęboko. Trzymali się brzegów morskich, swoich statków i uzbrojonych fortyfikacji, swoich zapasów żywności i chininy. Jeżeli w XIX wieku ktoś – jak Stanley – odważył się przewędrować kontynent ze wschodu na zachód, to wyczyn taki był na świecie tematem prasy i literatury przez wiele lat. Dzięki tym przeszkodom komunikacyjnym wiele kultur i zwyczajów afrykańskich mogło przetrwać do naszych czasów w nie zmienionej postaci.

Formalnie, ale tylko formalnie, kolonializm panuje w Afryce od czasu konferencji w Berlinie (1883–85), na której kilka państw Europy (głównie Anglia i Francja, a także Belgia, Niemcy i Portugalia) podzieliło między siebie cały kontynent – aż do czasu wyzwolenia się Afryki w drugiej połowie XX wieku. Faktycznie jednak penetracja kolonialna zaczęła się znacznie wcześniej, bo już w XV wieku, i rozkwitała przez następnych pięćset lat. Najbardziej haniebną i brutalną fazą tego podboju był trwający ponad trzysta lat handel niewolnikami afrykańskimi. Trzysta lat obław, ła-

panek, pościgów i zasadzek, organizowanych, często z pomocą afrykańskich i arabskich współników, przez białych ludzi. Miliony młodych Afrykanów zostało wywiezionych – w koszmarnych warunkach, upychani w lukach statków – za Atlantyk, aby tam w pocie czoła budować bogactwo i potęgę Nowego Świata.

Afryka – prześladowana i bezbronna – została wyludniona, zniszczona, zrujnowana. Opustoszały całe połacie kontynentu, jałowy busz zarósł kwitnące i słoneczne krainy. Ale najbardziej bolesne i trwałe ślady pozostawiła ta epoka w pamięci i świadomości Afrykanów: wieki pogardy, upokorzenia i cierpienie wytworzyły w nich kompleks niższości i gdzieś w głębi serca osadzone poczucie krzywdy.

W momencie kiedy wybucha II wojna światowa, kolonializm przeżywa apogeum. Jednakże przebieg tej wojny, jej symboliczna wymowa w rzeczywistości zapoczątkowały klęskę i koniec tego systemu.

Jak i dlaczego tak się stało? Wiele wyjaśni krótka wyprawa do mrocznej krainy myślenia w kategoriach rasy. Otóż centralnym tematem, esencją, rdzeniem stosunków między Europejczykami i Afrykanami, główną formą, jaką te stosunki przybierają w epoce kolonialnej, jest różnica ras, koloru skóry. Wszystko, każda relacja, zależność, konflikt przekłada się na język pojęć: Biały – Czarny; przy czym, oczywiście, Biały jest lepszy, wyższy, silniejszy niż Czarny. Biały to – sir, master, sahib, bwana kubwa, niekwestionowany pan i władca, zesłany przez Boga, aby rządził Czarnymi. Wpajano Afrykaninowi, że Biały jest nietykalny, niezwyciężony, że Biali stanowią jednolitą, zwartą siłę. To była ideologia podpierająca system kolonialnej dominacji, ideologia, która gruntowała przekonanie, że wszelkie jego kwestionowanie czy kontestacja nie mają żadnego sensu.

I nagle Afrykanie, których werbowano do armii brytyjskiej i francuskiej, widzą, że w tej wojnie, w której uczestniczą w Europie, Biały bije Białego, że strzelają do siebie,

że jedni drugim burzą miasta. Jest to rewelacja, zaskoczenie, szok. Żołnierze afrykańscy w armii francuskiej widzą, że ich władczyni kolonialna – Francja – jest pokonana i podbita. Żołnierze afrykańscy w armii brytyjskiej widzą, jak stolica imperium – Londyn – jest bombardowana, widzą Białych ogarniętych paniką, Białych, którzy uciekają, o coś proszą, płaczą. Widzą Białych obdartych, głodnych, wołających o chleb. A w miarę, jak posuwają się na wschód Europy i razem z białymi Anglikami biją białych Niemców, napotykać to tu, to tam kolumny odzianych w pasiaki białych ludzi, ludzi-szkielety, ludzi-strzępy.

Wstrząs, jakiego doznawał Afrykanin, kiedy obrazy wojny Białych przesuwają się przed jego oczyma, był tym silniejszy, że mieszkańcom Afryki (poza małymi wyjątkami, a w wypadku np. Konga belgijskiego – bez wyjątku) nie wolno było do Europy, czy w ogóle poza ich kontynent, jeździć. O życiu Białych mogli sądzić tylko na podstawie luksusowych warunków, jakie mieli Biali w koloniach.

Jeszcze i to: mieszkaniec Afryki, w połowie XX wieku, nie ma żadnych źródeł informacji poza tym, co powie mu sąsiad albo szef wioski czy kolonialny administrator. Wie on więc o świecie tyle, co sam zobaczy w najbliższej okolicy albo co usłyszy od innych w czasie wieczornej pogwar-ki przy ognisku.

Tych wszystkich kombatantów II wojny, którzy wrócili potem z Europy do Afryki, spotkamy wkrótce w szeregach różnych ruchów i partii walczących o niepodległość swoich krajów. Liczba tych organizacji rośnie teraz szybko, powstają jak grzyby po deszczu. Mają różne orientacje, stawiają sobie odmienne cele.

Ci z kolonii francuskich wysuwają na razie ograniczone postulaty. Nie mówią jeszcze o wolności. Chcą tylko, aby wszystkich mieszkańców kolonii uczynić obywatelami



Francji. Paryż odrzuca ten postulat. Owszem, obywatelem Francji zostanie ten, kto zostanie wykształcony w kulturze francuskiej, wzniesie się do jej poziomu – tzw. *évolué*. Ale tacy okażą się wyjątkami.

Ci z kolonii brytyjskich są bardziej radykalni. Inspiracją, impulsem i programem są dla nich śmiałe wizje przyszłości kreślone przez potomków niewolników, intelektualistów afro-amerykańskich w drugiej połowie XIX i pierwszej – XX wieku. Sformułowali oni doktrynę, którą nazwali panafryzm. Jej główni twórcy to: działacz Alexander Crummwell, pisarz W.E.B. Du Bois i dziennikarz Marcus Garvey (ten ostatni z Jamajki). Różnili się, ale w dwóch punktach byli zgodni: 1) że wszyscy Czarni na świecie – w Ameryce Południowej i w Afryce – tworzą jedną rasę, jedną kulturę i że powinni być dumni ze swojego koloru skóry; 2) że cała Afryka powinna być niepodległa i zjednoczona. Ich hasło brzmiało „Afryka dla Afrykanów!”. W trzecim, równie ważnym punkcie programu, W.E.B. Du Bois głosił pogląd, że Czarni powinni pozostać w tych krajach, w których mieszkają, natomiast Garvey – że wszyscy Czarni, gdziekolwiek są, powinni powrócić do Afryki. Jakiś czas sprzedawał on nawet fotografię Hajle Sellasje, utrzymując, że jest to wiza powrotna. Umarł w 1940 roku nigdy nie zobaczywszy Afryki.

Entuzjastą panafryzmu stał się młody działacz i teoretyk z Ghany – Kwame Nkrumah. W 1947 roku, po skończeniu studiów w Ameryce, wrócił do kraju. Założył partię, do której przyciągnął kombatantów II wojny, a także młodzież, i na jednym z wieców rzucił w Akrze bojowe hasło: „Niepodległość teraz!”. Wtedy, w tamtej kolonialnej Afryce zabrzmiało to jak wybuch bomby. Ale w dziesięć lat później Ghana stała się pierwszym na południe od Sahary niepodległym krajem Afryki, a Akra – od razu prowizorycznym, nieformalnym centrum wszelkich ruchów, pomysłów i działań dla całego kontynentu.

Panowała tu gorączka wyzwolenicza i można było spotkać ludzi z całej Afryki. Przyjeżdżało też mnóstwo dziennikarzy ze świata. Sprowadzała ich ciekawość, niepewność i nawet lęk stolic europejskich – czy aby Afryka nie wybuchnie, czy nie poleje się tu krew Białych, a nawet czy nie powstaną armie, które, wyposażone w broń, jaką podrzuca im Sowietom, nie spróbują – w odruchu zemsty i nienawiści – ruszyć na Europę?

Rano kupiłem miejscową gazetę „Ashanti Pioneer” i poszedłem szukać redakcji. Doświadczenie uczy, że w takiej redakcji można przez godzinę dowiedzieć się więcej, niż chodząc przez tydzień do różnych instytucji i notabli. Tak było i tym razem.

W małym obskurnym pomieszczeniu, w którym woń przejrzałego mango łączyła się w przedziwny sposób z zapachem farby drukarskiej, powitał mnie wylewnie – jakby czekając na tę wizytę nie wiedząc od kiedy – pogodny, korpulentny człowiek („Ja też jestem reporterem” – powiedział na wstępie) – Kwesi Amu.

Przebieg i atmosfera powitania mają istotne znaczenie dla dalszych losów znajomości, dlatego przykładają tu wielką wagę do sposobu, w jaki się witają. Najważniejsze to od samego początku, od pierwszej sekundy okazać wielką, żywiołową radość i serdeczność. Więc najpierw wyciągamy rękę. Ale nie tak formalnie, powściągliwie, wiotko, lecz przeciwnie – biorąc duży, energiczny zamach tak, jakbyśmy chcieli witanemu nie tyle podać spokojnie rękę, co mu ją urwać. Jeżeli jednak zachowuje on rękę w całości i na miejscu, to dlatego, że znając cały obrządek i reguły powitania, on również ze swojej strony nabiera dużego i energicznego zamachu i kieruje swoją rozpedzoną rękę w stronę naszej rozpedzonej ręki. Obie te, naładowane ogromną energią kończyny spotykają się teraz w pół drogi i wpadając na sie-

bie ze straszliwym impetem redukują, a nawet znoszą do zera, przeciwnie działające siły. Jednocześnie, kiedy nasze wprawione w ruch ręce pędzą sobie naprzeciw, wydobywamy z siebie pierwszą, donośną, przeciąglą kaskadę śmiechu. Ma ona oznaczać, że cieszymy się ze spotkania i że jesteśmy do spotkanej osoby dobrze usposobieni.

Teraz następuje długa lista okolicznościowych pytań i odpowiedzi w rodzaju: „Jak się masz? Czy jesteś zdrow? Jak się czuje twoja rodzina? Czy wszyscy zdrowi? A dziadek? A babcia? A ciocia? A wujek?” – itd., itd., bo rodziny są tu liczne i rozgałęzione. Zwyczaj każe, żeby każdą z pomyślnych odpowiedzi kwitować kolejną kaskadą donośnego i żywiołowego śmiechu, która powinna wywołać podobną, a nawet jeszcze bardziej homerycką kaskadę u pytającego.

Często widzimy dwóch (albo więcej) ludzi stojących na ulicy i zanoszących się śmiechem. Nie oznacza to, że opowiadają sobie dowcipy. Oni się po prostu witają. Natomiast jeżeli śmiechy zamilkną – to albo zakończył się akt powitania i można przejść do meritum rozmowy, albo, zwyczajnie, spotykający się ucichli, żeby zmęczonym trzewiom dać przez chwilę odpocząć.

Kiedy już odbyliśmy z Kwesi cały huczny i wesoły rytuał powitania, zaczęliśmy rozmowę o królestwie Ashanti. Ashanti opierali się Anglikom do końca XIX wieku i tak na dobrą sprawę nigdy im się do końca nie poddali. A i teraz, w warunkach niepodległości, trzymają się oni na dystans od Nkrumaha i popierających go ludzi z wybrzeża, których kultury nie cenią sobie najwyżej. Są bardzo przywiązani do swojej przebogatej historii, swoich tradycji, wierzeń i praw.

W całej Afryce każda większa społeczność ma własną, odrębną kulturę, oryginalny system wierzeń i obyczajów, swój język i tabu, a wszystko to niezmiernie skomplikowane, arcyzawile i tajemnicze. Dlatego wielcy antropolodzy

nigdy nie mówili „kultura afrykańska” czy „religia afrykańska”, wiedząc, że nic takiego nie istnieje, że istotą Afryki jest jej nieskończona różnorodność. Widzieli kulturę każdego ludu jako świat odrębny, jedyny, niepowtarzalny. W ten też sposób pisali: E.E. Evans-Pritchard wydał monografię o Nuerach, M. Gluckman – o Zulu, G.T. Basden – o Ibo itd. Tymczasem umysł europejski skłonny do racjonalnej redukcji, do szufladkowania i uproszczeń, chętnie wpycha wszystko co afrykańskie do jednego worka i zadowala się łatwymi stereotypami.

– Wierzymy – powiedział mi Kwesi – że człowiek składa się z dwóch elementów. Z krwi, którą dziedziczy po matce, i z ducha, którego dawcą jest ojciec. Silniejszym z tych elementów jest pierwiastek krwi, dlatego dziecko należy do matki i jej klanu – nie do ojca. Jeżeli klan żony każe jej zostawić męża i wracać do rodzinnej wioski, zabiera ona ze sobą wszystkie dzieci (bo żona co prawda mieszka w wiosce i w domu męża, ale jest tam tylko niejako w gościnie). Ta szansa powrotu do swojego klanu sprawia, że jeżeli mąż ją porzuci, kobieta ma gdzie się podziać. Może też sama się wynieść, jeżeli będzie on dla niej despotą. Ale są to sytuacje skrajne, bo zwykle rodzina jest silną i żywotną komórką, w której wszyscy mają zwyczajowo wyznaczone role i każdy zna swoje powinności.

Rodzina jest zawsze liczna – to kilkadziesiąt osób. Mąż, żona (żony), dzieci, kuzyni. Jeżeli jest to możliwe, rodzina zbiera się często i wspólnie spędza czas. Wspólne spędzanie czasu jest jedną z największych wartości, którą wszyscy starają się szanować. Ważne jest, by mieszkać razem albo blisko siebie: jest dużo prac, które można wykonać tylko zbiorowo – inaczej nie ma szansy na przeżycie.

Dziecko wychowuje się w rodzinie, ale w miarę, jak dorasta, widzi, że granice jego świata społecznego sięgają dalej, że obok żyją inne rodziny i że wiele tych rodzin razem stanowi klan. Klan tworzą ci wszyscy, którzy wierzą, że

mieli wspólnego praprzodka. Jeżeli wierzę, że kiedyś ty i ja mieliśmy tego samego praprzodka – to należymy do jednego klanu. Z tego przekonania wynikają niesłychanie ważne konsekwencje. Np. mężczyźni i kobiecie z tego samego klanu nie wolno mieć kontaktów seksualnych. Jest to objęte najostrzejszym tabu. W przeszłości za jego naruszenie oboje byli skazywani na śmierć. Ale i dziś jest to ciężkie wykroczenie, które może rozgniewać duchy przodków i ściągnąć na klan masę nieszczęść.

Na czele klanu stoi wódz. Wybiera go zgromadzenie klanu, któremu przewodzi rada starszych. Starsi to szefowie wsi, wodzowie podklanów, funkcyjni wszelkiego rodzaju. Może być kilku kandydatów i wiele głosowań, bo ten wybór ma znaczenie: pozycja wodza jest ważna. Od momentu wyboru wódz staje się osobą świętą. Odtąd nie wolno mu chodzić boso. Ani bezpośrednio siadać na ziemi. Nie wolno go dotknąć ni powiedzieć o nim złego słowa. Że idzie wódz – widać z daleka po rozpiętym parasolu. Wielki wódz ma ogromny, zdobny parasol, który trzyma specjalny sługa; mniejszy wódz chodzi z normalnym parasolem kupionym u Araba na targu.

Wódz klanu to funkcja o wyjątkowym znaczeniu. Sednem wiary ludzi Ashanti jest kult przodków. Klan obejmuje ogromną liczbę istot, ale tylko część możemy widzieć i spotkać, tę część, która żyje na ziemi. Inni – większość – to przodkowie, którzy częściowo odeszli, ale w rzeczywistości nadal uczestniczą w naszym życiu. Patrzą na nas, obserwują nasze zachowanie. Są wszędzie, wszystko widzą. Mogą nam pomóc, ale mogą też ukarać. Obdarzyć szczęściem albo skazać na zagładę. Decydują o wszystkim. Dlatego utrzymanie dobrych stosunków z przodkami jest warunkiem pomyślności całego klanu i każdego z nas. A właśnie za jakość i temperaturę tych stosunków odpowiada wódz. Jest on pośrednikiem i łącznikiem dwóch integralnych części klanu: świata przodków i świata żywych. To on komu-

nikuje żywym, jaka jest wola i decyzja przodków w danej sprawie, on również błaga ich o przebaczenie, jeżeli żywi naruszyli obyczaj lub prawo.

To przebaczenie można uzyskać, składając przodkom ofiary: krojąc ziemię wodą lub winem palmowym, odkładając im jedzenie, zabijając owcę. Wszystko to jednak może nie wystarczyć – przodkowie będą gniewać się dalej, co oznacza dla żywych ciągle niepowodzenia i choroby. Największy gniew wywołują: kazirodztwo, zabójstwo, samobójstwo, napad, obrażanie wodza, czarownictwo.

– Samobójstwo? – zdziwiłem się. – Jak można ukarać kogoś, kto popełnił samobójstwo?

– Prawo nasze nakazywało obciąć mu głowę. Samobójstwo było złamaniem tabu, a naczelną zasadą kodeksu klanowego jest to, że każde przewinienie musi być ukarane. Jeżeli zdarzy się przewinienie, które nie spotka się z karą – klan pograży się w katastrofie, stanie w obliczu zagłady.

Siedzieliśmy na werandzie jednego z wielu tutejszych barów. Piliśmy fantę; firma najwyraźniej ma tu monopol na sprzedaż. Za kontuarem, oparłszy głowę na rękach, drzemała młoda barmanka. Było gorąco i sennie.

– Wódz – ciągnął Kwesi – ma mnóstwo innych obowiązków. Rozstrzyga spory i rozwiązuje konflikty, jest więc również i sędzią. Ważne, a na wsiach ważne szczególnie, jest to, że wódz przydziela rodzinom ziemię. Nie może on tej ziemi dać ani sprzedać, ponieważ ziemia jest własnością przodków. Oni są w niej, w jej wnętrzu. Wódz może ją tylko przydzielić pod uprawę. Jeżeli pole wyjałowuje, wyznaczy on rodzinie inny kawałek gruntu, a ten będzie odpoczywał, nabierał sił na przyszłość. Ziemia jest święta. Ziemia daje ludziom życie, a to, co daje życie, jest święte.

Wódz cieszy się najwyższym szacunkiem. Jest otoczony radą starszych i nie może zdecydować o niczym bez zasięgnięcia jej opinii i bez jej zgody. Tak rozumiemy demokrację. Rano każdy z członków rady odwiedza dom wodza,

aby pozdrowić gospodarza. W ten sposób wie on, że rządzi dobrze i ma poparcie. Jeżeliby tych rannych wizyt nie było, znaczyłoby to, że stracił zaufanie i musi odejść. Stanie się tak wówczas, jeśli popełni jedno z pięciu przewinień. Są nimi: pijaństwo, obżarstwo, konszachty z czarownikami, zły stosunek do ludzi i rządzenie bez zasięgnięcia opinii rady starszych. Musi też odejść, jeżeli oślepnie, zarazi się trądem lub postrada zmysły.

Kilka klanów tworzy związek, który Europejczycy nazywają plemieniem. Ashanti to połączenie ośmiu klanów. Na czele stoi król – Ashantehene, otoczony radą starszych. Związek taki łączą nie tylko wspólni praprzodkowie. Jest on także wspólnotą terytorialną, kulturową i polityczną. Czasem taki lud jest potężny, wielomilionowy, większy niż niejeden naród europejski.

Długo wahałem się, ale w końcu poprosiłem go: – Powiedz mi coś o czarownictwie. – Wahałem się, ponieważ jest to temat, o którym mówi się tu z niechęcią, a często po prostu pomija milczeniem.

– Już nie wszyscy w to wierzą – odpowiedział Kwesi. – Ale dużo ludzi – tak. Wielu po prostu boi się nie wierzyć. Moja babcia uważa, że czarownice istnieją i nocą spotykają się na wysokich drzewach stojących pojedynczo w polu. Ale czy babcia widziała kiedyś czarownicę? – pytałem ją. – To jest niemożliwe – odpowiadała z przekonaniem. Nocą czarownice osnuwają całą ziemię pajęczą nicią. Jeden koniec nici trzymają w rękę, drugi jest umocowany do wszystkich drzwi na świecie. Jeżeli ktoś próbuje drzwi otworzyć i wyjść na zewnątrz – porusza pajęczynę. Czarownice to czują i w popłochu znikają w ciemnościach. Rano można tylko zobaczyć strzępy pajęczyn zwisające z gałęzi i z klamek drzwi.

---

Kobra rzucała się i biła w podłogę z taką rozszalałą wściekłością i furią, że wewnątrz lepianki zrobiło się ciemno od kurzu. Biła ogonem z taką energią i siłą, że gliniana podłoga kruszyła się i rozpryskiwała, oślepiając nas tumanami pyłu. W pewnym momencie pomyślałem ze zgrozą, że nie damy rady, że gad wyśliźnie się nam i obolały, ranny, rozjuszony, zacznie nas kąsać. Jeszcze mocniej przygniotłem kolegę. Ten pojękiwał, leżąc piersiami na kanistrze, nie miał czym oddychać.

---

ISBN 978-83-07-03445-4



9 788307 034454

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)